

ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI

SZPON.

PO DNIU GNIEWU.

„Wszyscy milczą, bo wszyskim
z milczeniem jest arcywygodnie.“
(Reineke — lis Goethego.)

Lermontow w jednem miejscu pism swoich powiada „Rossya widocznie tak jest utworzoną że w niej wszystko się odnawia oprócz głupstwa“ które pozostaje bez zmiany po wsze czasy. Te słowa przypominają się gdy rzucić okiem na całokształt tego, co się w Rosyi odbywa. Rosya wogóle przedstawia „curiosum“ świata i dziejów nie mające sobie równego. Wojna z Japonią, jeszcze w jaskrawszy sposób niż wojna z Turcyą, odsłoniła przed światem zdumiewającą i krańcową zgniliznę sfer zwierzchniczych Rosyi. Tylko rozmiary tego państwa uratowały je od całkowitego unicestwienia, gdyż okupacya takiego kolosu wymaga olbrzymich środków pieniężnych, militarnych i zasobów etniczno-kolonizatorskich, których państwo takie jak Japonia wyłonić z siebie nie mogłoby nawet przy pomocy innej jakiej współdziałającej jednostki państwowej. Tym sposobem termin rozbioru Rosyi musiał być odłożony do innej okazyi przy odpowiedniejszej konjukturze politycznej. Mała garstka odrodzeńców rosyjskich fakt haniebnego pogromu Rosyi przez Japonię wykorzystała w celach agitacyjnych i pomyślny dla nich moment psychologiczny spożytkowała na wzbudzenie quasi-rewolucyjnego ruchu. Ponieważ szkoła życia rosyjskiego nie hoduje ani Syeys'ów, ani Mirabeau'ów, an Condorcet'ów, natomiast hoduje wszelkie odmiany kanalii w wielkiej obfitości a masy ludowe utrzymuje w bezwładzie i niemocy barbarzyństwa, przeto przedwcześnie wzbudzony ruch rewolucyjny musiał się okazać budową wspartą na kurzych nóżkach. To też był on dzieckiem poronionem, przedwcześnie urodzonem bez widoków utrzymania się przy życiu. Lecz ta inscenizowana fejerwerkowa rakieta rewolucyjna była tak efektowną i tak łudziła swą grozą, że każdy nie wnikający głębiej w zachodzące zjawiska był skłonnym mniemać, że nastała chwila przełomowa w dziejach Rosyi. Sfery rządzące Rosyi i ich korrupcyjnych satelitów pośród których nigdy nie było mędrców i filozofów, opanowała taka dezoryentacya w obliczeniu obustronnych sił i zachodzących wypadków, że pod wpływem złudzenia przeceniły środki i siły rosyjskiego „huczku“ rewolucyjnego, nie doceniając własnych kontrrewolucyjnych zapasów. Owocem tych mylnych obliczeń był „manifest październikowy“.

Rzeczywistość jednak wnet musiała nabrać cech oczywistości, więc wykazała dowodnie że „manifest październikowy" jest takim samym anachronizmem jak i rewolucya polityczno-społeczna, na której spotkanie on wyszedł. Z chwilą gdy spostrzeżono niebawem że ruch odrodzieńczy ogarnia dającą się lekceważyć mniejszość, poczęto pośpiesznie powracać do dawnego „regime'u". Fakt nadania przez najwyższego, niby, władzcę konstytucyjnego manifestu październikowego i nie cofnięcie go z najwyższego miejsca nie stanowi w Rosyi kłopotu, gdy się na stary ład chce rządzić. Legislatura w Rosyi rozporządza wielką ilością środków bardzo charakterystycznych, służących temu celowi. Są niemi wyjątkowe stany, ale nieustające pełnomocnictwa generał-gubernatorów, ministeryalne cyrkularze z rozporządzeniami obowiązującemi wreszcie przepisy t. z. „tymczasowe" które odznaczają się największą właśnie trwałością w czasie.

Zapomocą powyższych haków i pazurów prawodawczych z wielką łatwością wydłubano z orzecha konstytucyjnego całe ziarno konstytucyjne, pozostawiając jedynie strzaskaną łupinę. Pomimo tej operacyi, pomimo okucia manifestu październikowego w kajdany przez biurokracyę, wyszła stąd Duma państwowa okazała się jednak jeszcze hamulcem biurokratycznej dyktatury, który krępował i żenował jej swobodę ruchów. Chcąc temu zaradzić, ucieknięto się do bardzo łatwego w Rosyi środka. Z paragrafów ustawy wyborczej upleciono sieć do wyławiania tylko takich posłów, którzy przedstawiali rękojmię, że są pokrewnego ducha z wszechwładną biurokracyą. System państwowości rosyjskiej wsparty na korrupcyi opancerzonej, bezkarnością trwając całe stulecia, zdążył wyhodować niezliczone pokolenia nikczemników i nicponiów.

Gdy w tę zgraję zarzucono sieć wyborczą, ustawiono więcej wyrzutków społecznych niż rządowi było potrzeba i na domiar ambarasu większych łotrów niż sobie sfery rządzące tego życzyły. Z tego faktu, że ilość i jakość szumowin poselskich w Dumie okazała się nadmierną i z tego faktu, że w przewidywaniu sfabrykowania posłusznej Dumy pozostawiono jej resztki kompetencyi ograniczających samowolę rządu, wytworzyło się oryginalne, jedyne w swoim rodzaju położenie. Stary „regime" parlamentaryzmem został nie poprawiony lecz pogorszony. Sfery rządzące nie znosząc krępujących więzów parlamentaryzmu, chcąc sobie z Dumy uszyć wygodne pantofle do chodzenia, niechcący własnoręcznie nałożyły na siebie kajdany, nie zbyt ciężkie co prawda, od których klucz spoczął w ręku rosyjskiej mafii tego nowego kwiatka oficyalnej rosyjskiej kultury. Sprawdziło się w tym razie rosyjskie przysłowie „wsiakoje dieło mastiera boitsia a inowo diéła to i mastier boitsia." Ta mafia która miała być rodzajem wandei okazała się hyperwandeą w dodatku mocno podchmieloną, która od burdy karczemnej przechodzi do pogróżki i terroryzuje rząd, jeśli ten waha się zaspakajać każdą najdzikszą jej zachciankę.

O ile pierwsze dwie Dumy przy wszystkich swych ułomnościach i kalectwach składały się z elity społeczeństwa rosyjskiego, o tyle trzecia Duma składa się w przeważającej liczbie z hordy wyjących epileptyków, alkoholików, syfilityków, szulerów, kryminalistów, zasłaniających się poselstwem przed wkraczaniem prokuratoryi. Gdyby tu chodziło tylko o większość zdziczałych posłów byłby to mały kłopot dla sfer rządzących. Rota sołdatów wystarczyłaby do uporania się z tem osobliwem towarzystwem, lecz czarnosecinni posłowie są tylko pryszczem uformowanym z zakażonej krwi rosyjskiego państwowego organizmu; zdrapanie tego pryszcza żadnego polepszenia nie wnosi. Ta kanaliokracya z furyą usiłująca przelicytować biurokracyę w jej znikczemnieniu, anarchii, głupocie, samowoli i przemocy nie jest odosobniona i ma za sobą masową organizacyę mętów wszelkiego rodzaju i pochodzenia.

W innem miejscu wskazywaliśmy, że, jeśli istnieje przeczynowość i logika w historyi, to Rosya zmierza do samounicestwienia siebie i zagłada jej jest nieuniknioną. Zobrazowane wyżej stosunki są tylko jednym epizodem więcej rozkładu Rosyi. Rzeczywiste sumienie dekadenckiej Rosyi wypowiada się mniej przez usta gabinetu, natomiast dużo szczerzej i prawdziwiej przez usta czarnosecińców i październikowców, mających głos rozstrzygający. Obrady dumy składają świadectwo skandalicznego nieuctwa posłów, braku w nich wszelkiej kultury politycznej, nieznajomości rażącej rzeczywistości w obrębie państwa. Ci na prędce przerobieni z chamów salonowcy, wysnuwają prawa wprost ze swego mózgu, tak jak magik z nosa wyciąga stos kolorowych wstążek.

Nie przychodzi im wcale do głowy oprzeć prawo i przystosować je do prawdy życia. W tych warunkach prawodawstwo staje się manifestacyą, staje się stekiem zachcianek autorskich i, albo jest martwą literą, albo środkiem ciemiężenia oddanych na pastwę jego wybryków. To też w tak osobliwy sposób powstające niby przedstawicielstwo do niczego innego nie jest zdolne, jak do tego, żeby jeszcze więcej rozognić wszystkie nienawiści plemienne i stanowe w obrębie Rosyi, które ją zamieniają na polityczny flak. Prędzej raczej o dzisiejszej Rosyi niż o Polsce w okresie rozbiorów można powiedzieć, że „nierządem" stoi. Rosya jest klasycznym krajem bezprawia. Nikt prawa tu nie zna, bo go nie widzi, a nie widzi dlatego, że ono nie istnieje, a nie istnieje ono dlatego, że wysnuwa się ono nie z naturalnych stosunków lecz z zachcianek, wygody, kaprysów tych, którzy tą lub inną drogą zdobyli większy lub mniejszy zakres władzy. Prawo takiego pochodzenia pozbawione jest przewodniej myśli i wytkniętego celu, a tem samem daremnem byłoby szukać w niem logiki. Kaprysów tych, zachcianek i wygód sprawujących władzę było już tyle kłócących się ze sobą i sprzeciwiających się sobie, że algebraiczna suma wynikłego stąd prawodawstwa w najlepszym razie równa się zeru, zwłaszcza, że w Rosyi panuje szlachetny obyczaj nieznoszenia nigdy raz nadanego prawa a dodawanie tylko do istniejącego nowych. Wynika to stąd, że nieomylność w Rosyi zaczyna się już od stójkowego i szpicla i wzmaga się ze wzrostem rangi.

To wszystko razem sprawia, że prawodawstwo rosyjskie nie składa się z dwunastu tablic lecz z nieskończonego szeregu tomów, nad których treścią żaden nawet zespół geniuszów w kwadracie nie zdoła zapanować. Już to samo uniemożli-

wia znajomość i stosowanie prawa w Rosyi. Lecz nie tylko ta technika powstawania praw rosyjskich unicestwia je. Nikłość praw z zakresu użyteczności publicznej obok przerostu praw pustoszycielskich i ciemiężących rodzi nienawiść prawa, rodzi upodobanie do bezprawia, które w tych okolicznościach staje się łatwiejszem do zniesienia niżeli stan prawny. Gdy do tego dodać rosyjską pierwotną nizką kulturę społeczną uniemożliwioną w absolutystycznym systemie, to będą wzniesione główniejsze czynniki powodujące rozkwit anarchistycznych nastrojów i charakterów u ludności państwa rosyjskiego.

Jedynymi legitymistami w Rosyi (nie w znaczeniu francuskiem tego słowa) jest garstka zeuropeizowanych konstytucyjnych demokratów i pokrewnych im stronnictw. Wszystka olbrzymia reszta jak biurokraci, popi, spiskowcy czarnosecinni, przelicytowują się w rewolucyjnych metodach postępowania, stawiając ponad wszystko samowolę, przemoc, bezprawie, terror. Jedyna rzecz jaka wyróżnia biurokracyę od reszty anarchistycznych kategoryj to to, że korzystając ze swego położenia handluje ona w dodatku zakazem i zezwoleniem, których cenę usiłuje utrzymać na wysokim poziomie.

Wszystkie wyżej omówione okoliczności i stosunki gwarantują, że Rosya aż do ostatecznego i fatalnego skutku ulegając swemu historycznemu determinizmowi, nie wejdzie na drogę odrodzeniową. Fakt odrodzenia się ościennych azyatyckich krajów i ludów zagładę Rosyi robi pewniejszą jeszcze. Oczywiście, że słabość i upadek Rosyi nie oznacza siły i podźwignięcia się Polaków rosyjskiego zaboru, raczej odwrotnie. Pustoszycielska, barbarzyńska działalność rządu rosyjskiego na obszarze ziem polskich ze szczególniejszą żarliwością była stosowaną, mogąc łudzić pozorami jakiego barbarzyńskiego patryotyzmu. Obok tego działalność ta, jako szczodrzej wynagradzana, znajdywała więcej uzdolnionych i pomysłowych wykonawców. Pamiętać przytem trzeba, że Polska w okres porozbiorowej historyi weszła jako społeczny kaleka bez narodowego albo unarodowionego mieszczaństwa, weszła jako ruina ekonomiczna, oświatowa, kulturalna, krócej mówiąc weszła jako polityczno-społeczny i kulturalny Łazarz.

To wszystko oczywiście nie wzmagało odporności tego kraju na demoralizujący i pustoszycielski system rosyjskich rządów w Polsce. Jako naród podbity, ciemiężony i wszestronnie rujnowany we wszystkich swych próbnych i nieudałych poczynaniach dźwigania się i odradzania, natrafiać musiała ona na spiętrzone przeszkody i nic nie znaczące wyniki. Zdaje się, że nie żaden genjusz lecz jakiś wrodzony instynkt dyktuje jednemu narodowi w jaki sposób powinien on ubezwładniać, wyzyskiwać, unicestwiać inny wrogi mu naród. Myśl tę nasuwa spostrzeżenie, że w tym zakresie nawet miernoty, nieokrzesańcy i głupcy zdobywają się w tej dziedzinie na skuteczny pomysł i wykonanie, nie zdając sobie dokładnie sprawy z całej doniosłości i skuteczności płodów swej rakarskiej duszy. Ponieważ Polacy nie potrafili stanąć na wysokości tych zadań jakie im niewolnictwo porozbiorowe stworzyło, przeto niewola wtraciła ich w stan, z którego zwierzchnicze narody pełną łyżką czerpią jedni na swoje zdrowie i pokrzepienie, inni ze szkodą dla siebie większą niż zyskiem.

J. KRZESŁAWSKI.

ŻYCIE POLITYCZNE MŁODZIEŻY.

II.

Gdy powstawać zaczęły w latach 1908—1909 związki filareckie, działalność ich spotykała się z powszechną nieufnością. Tak zwaną młodzież narodową, zgrupowaną w „Zjednoczeniu“ i należącą do „Ogniwa“, raził radykalizm poglądów społecznych, w dziedzinie zaś politycznej — propaganda czynnej walki o niepodległość, która dla tych bankrutów wyzwoleńczych ideałów była jak gdyby wyrzutem sumienia. Dla „Związku“, w którym zasady socyalistyczne zwykle dominowały, pozostawiając w cieniu inne typy postępu, powstawanie Filarecyi było zdradą socyalizmu, zdradą postępu, zręcznym manewrem, maskującym ukryty cel, podanie ręki reakcyi. Od potępień i anathem, rzucanych ruchowi filareckiemu, aż grzmiało na zjazdach związkowych. Kwestya, czy należy Związki postępowe, tworzone dla walki z reakcyą, rozbijać, rzeczywiście stała otworem i nawet dla niejednego zwolennika filareckich ideałów przedstawiała poważną wątpliwość. I rozwinęła się dyskusya, zarówno na terenie stowarzyszeń akademickich, jak i na łamach prasy, zwłaszcza „Przedświtu“, dla którego obóz filarecki posiadał wiele sympatyi. Wreszcie życie przemówiło faktami, które roztrzygnęły dyskusyę: rozbrat między Związkiem, a obozem niepodległościowo-postępowym stał się zupełny.

Pierwszym z tych faktów był rozkład wewnętrzny organizacyi związkowych. W istnieniu ich nie było żadnej przerwy, ale jakież to było istnienie! Składały się one przeważnie, a w pewnych miejscowościach wyłącznie z rozbitków rewolucyi, z ludzi, których wysunęła na czoło chwila, a teraz zła godzina pogrążyła nanowo w odmęt szarzyzny. Tęższe charaktery z pośród młodzieży rewolucyjnej albo nie oszczędzały siebie i znalazły w godzinach rospaczliwej walki śmierć lub gorszą od śmierci katorgę lub zesłanie, albo, szczęśliwym trafem uniknąwszy pogromu, znalazły się zagranicą i napróżno starały się wlać życie w obumierające stowarzyszenia. Rej w nich wodziły jednostki, przekonujące wszystkich o swej minionej wielkości, a odrazę budzące smutną teraźniejszością, pozbawioną ideowej treści. Wyrobienie organizacyjne i zdolność przemawiania na wiecach nie były w stanie zastąpić ognia wewnętrznego, który gdzieś się ulotnił. Z dawnych haseł pozostały grzmiące frazesy, a ton kabaretowo-flirciarski często w gorszym stylu stawał się dominujący. Gdy do lepszych jednostek zwracano się, aby przez swój wpływ osobisty zapobiegały złemu, odma-

wiały one stanowczo, twierdząc, że po tylu przeżyciach nie są dziś zdolne do pracy. U niektórych było to szczere — takie jednostki zwykle kończyły ze sobą; u innych, którzy przeżywali tragiczne wypadki w bardzo wygodnej perspektywie, było to jednym więcej środkiem dla tumanienia pozostałych. którzy nie mogli się nadziwić, że tak marni są i płytcy „bohaterowie" dni minionych. Dopływu do tych organizacyi sił świeżych nie było prawie żadnego, bo w stosunku do galicyan (jeżeli chodzi o stowarzyszenia galicyjskie) uprawiano antagonizm dzielnicowy, a młode jednostki, garnące się do pracy społecznej, widziały w organizacyach związkowych wszystko, tylko nie warsztat takiej pracy. Najcharakterystyczniejszym dla tych stowarzyszeń było, że jednostki najwięcej wartościowe stały po za ich obrębem. Jedne czekały, aż proces gnicia doprowadzi do zupełnego upadku istniejących organizacyi, co też w niektórych wypadkach szczęśliwie nastąpiło; innym zadługo było czekać, i dały hasło do tworzenia nowych stowarzyszeń. Powstało pytanie: jakie hasła mają stanowić podstawę nowo powstających organizacyi. Zjazd związkowy, jaki się odbył w grudniu 1910 roku, ułatwił odpowiedź na to pytanie: pchnął on olbrzymie zastępy młodzieży w objęcia „Filarecyi".

Na zjeździe poruszoną została kwestya, która od dość dawna roznamiętniała umysły: kwestya stosunku młodzieży do idei niepodległości Polski. Kwestya ta, ogromnej wagi, niegdyś spychana na plan dalszy, a mianowicie w okresie fetyszyzmu rewolucyi rosyjskiej, gdy wierzono, że rozwiązanie tej sprawy nastąpi na skutek zewnętrznych czynników, dziś, gdy na miejsce zasady *„ex oriente lux"* polityka wiary we własne siły, na zachodniej kulturze oparta, poczęła sobie wyżłabiać łożysko w świadomości ogółu, musiała dziś zająć należyte stanowisko. Od rozwiązania jej bowiem zależy już dziś nietylko kwestya, „jak myśleć", lecz kwestya, „co czynić". I oto większość zjazdowa, z żywiołów obojętnie lub wręcz wrogo względem dążeń niepodległościowych nastrojona, oświadczyła się w sposób nader kategoryczny przeciw wprowadzeniu zasady niepodległości do programów stowarzyszeń młodzieży akademickiej. Orzeczono, że zasada niepodległości, jako hasło, nie pociągające za sobą żadnych konsekwencyi, jest reakcyjną i szkodliwą; jeżeli zaś powiązać z nią dążenia do czynnej walki, staje się ona hasłem partyjnem. Wobec tego zasadę tę potępiono. Z tem stanowiskiem mniejszość zjazdowa, wierna idei niepodległości, nie mogła się pogodzić i opuściła zjazd. Wspólna praca przy rozbieżnościach programowych możliwa była dopóty, dopóki dążności niepodległościowe wisiały gdzieś w powietrzu i nie było widać możności ich zrealizowania; dopóty wreszcie, dopóki stanowiły przedmiot sporu wewnątrz organizacyi. Deklaracyę związkową musiała jednak uznać młodzież, jako ciężką zniewagę swych uczuć, a wobec tego korzystne strony, jakie przedstawiała możność współpracownictwa wszystkich odłamów młodzieży postępowej, ustąpiły na plan dalszy. Rozłam stał się faktem. Secesyoniści połączyli się już z istniejącemi organizacyami filareckiemi. Filarecya stała się obozem silnym i zwartym.

I dopiero od tej pory Filarecya stanęła na tak wyraźnym gruncie programowym, że wszelki sceptycyzm ucichł. Jeżeli przedtem budziła wątpliwość postawa niektórych zagranicznych stowarzyszeń filareckich, które, nie stykając się osobiście z grupami t. zw. „Zarzewiaków", mimo pozornego radykalizmu przesiąkniętych szowinizmem, zajmowały wobec nich niedość odporne i zdecydowane stanowisko (np. stowarzyszenie w Brukseli), to teraz dążenia filaretów do zachowania czystości zasad, do łączenia zawsze i wszędzie idei niepodległości z zadaniami ruchu robotniczego, wskazanego mu przez rozwój ekonomiczny zachodniej Europy, stało się zupełnie widocznem. Jeżeli kiedyś w czyjejś głowie mogła powstać myśl, że Filarecya stanie się zawiązkiem zjednoczenia całej młodzieży polskiej, przez wygaśnięcie z jednej strony beznarodowego socyalizmu, z drugiej — ugody i przez połączenie żywiołów pozostałych, to dziś, wobec wyraźnego zdawania sobie sprawy przez młodzież, do czego dąży, mowy o tem być nie może. Dowodem, obrady ostatniego zjazdu krakowskiego i uchwały, wyraźnie zastrzegające się przeciw wszelkim niepożądanym sojuszom.

Rozpoczęła się więc nowa era w życiu młodzieży, której całe zastępy gromadziły się w obozie Filarecyi. I choć atmosfera emigracyi zawsze musi działać paraliżująco na najlepsze zamiary, broniły Filarecyi od zgnuśnienia: świeżość jej haseł i dążność do zespolenia teoryi z czynem, skonkretyzowana w pracy mającej na celu przygotowanie wojskowe, bez którego niemożliwem byłoby urzeczywistnienie idei, obliczone na dalszą metę. Wreszcie bardzo silnym czynnikiem odświeżenia Filarecyi stał się napływ młodych sił ze szkół Królestwa, gdzie, mimo spętania skrzydeł, rozwinął się wszerz i w głąb ruch niepodległościowo-postępowy.

(C. d. n.)

LUDWIK GUMPLOWICZ.

(*Stanisław Posner. Ludwik Gumplowicz. Zarys życia i pracy. Str. 206. Warszawa 1912*).

P. Stanisław Posner piękny hołd oddał pamięci zmarłego śmiercią samobójczą w d. 20-ym sierpnia 1909 r. socyologa polskiego, świetnem piórem kreśląc zarys jego pracy naukowej. Nie jest to panegiryk ani wiązanka kwiatów, złożona na mogile przez wyznawcę poglądów mistrza: jest to studyum krytyczne, nieraz bardzo surowe, pisane przez przeciwnika zasadniczych poglądów socyologicznych Gumplowicza. A jednak jest to zarazem hołd, złożony nieustraszonej, żadnymi przesądami i względami nie krępującej się myśli, śmiałej inicyatywie naukowej, badawczemu duchowi, zaciekle broniącemu tego, co za prawdę niewzruszoną uznał. Autor przedewszystkiem i najwyżej ceni w Gumplowiczu to, że był indywidualnością, pisarzem niezmiernie suggiestyjnym, zapładniającym myśl czytelnika, wnoszącym ferment śmiałych, bezwzględnych, burzycielskich poglądów, że był to zarazem człowiek „odważny i całkowity“, nie znający kompromisów i oportunizmu.

Nie jest to oczywiście przypadkiem, że człowiek taki nie mógł znaleźć przystani i terenu dla pracy na Wszechnicy krakowskiej. Jakgdyby trafnem przeczuciem wiedzeni, profesorowie wydziału prawnego „Almae Matris Cracoviensis“ uznali w r. 1886 młodego, rozpoczynającego dopiero swój zawód naukowy Gumplowicza — za niegodnego habilitacyi. Snać odgadli w nim zaciekłego poszukiwacza prawdy, umysł śmiały i krytyczny, człowieka, który w ich czcigodnem gronie byłby intruzem, mącicielem prawowierności i oparagrafowanej nauki. Gumplowicz, odtrącony od Uniwersytetu, zasiadł przy biurku redakcyjnem, jako kierownik wolnomyślno-demokratycznego „Kraju“ (1869—74), ale po upadku tego pisma musiał szukać terenu dla pracy wśród obcych — on, który tak gorąco pragnął służyć ojczystemu krajowi, który później, w ciągu kilku lat dziesiątków na obczyźnie przebywając, zawsze zaznaczał swą narodowość polską. P. Posner przytacza list Gumplowicza z r. 1879, z Gracu pisany, list, w którym Gumplowicz przejmującym głosem skarży się na bolesną krzywdę, wyrządzoną mu, na pozbawienie go możności pracowania w Polsce, dla nauki polskiej. Krzywdy tej, rozumie się, nie naprawiono... Napewno nawet mandaryni polscy, gdy poglądy socyologiczne Gumplowicza skrystalizowały się, radzi byli, że zawczasu przejrzeli go i domyślili się w nim „heretyka“...

P. Posner trafnie charakteryzuje umysłowość Gumplowicza. Nie jest to badacz ścisły, ostrożny, zrównoważony, wszechstronnie oświetlający przedmiot, starannie gromadzący argumenty. Przeciwnie, Gumplowicz jest niezmiernie jednostronny i subjektywny. Poglądy jego socyologiczne dadzą się sprowadzić do kilku tez, bardzo prostych i jasnych, któremi operuje on ciągle i niezmordowanie, powtarzając je bez końca, narzucając, że się tak wyrazimy, ich dyktaturę wszelkim zjawiskom społeczno-politycznym, widząc w nich całą i jedynie możliwą socyologię. Gumplowicz często wcale nie argumentuje, nie uzasadnia pozytywnie swoich poglądów, ale niejako dekretuje je z wielką siłą przekonania, jak gdyby to były pewniki, zrozumiałe same przez się, odkrycia, które dość wygłosić, aby im zapewnić nieomylność. Gumplowicz jest zawsze jasny, dobitny, pewny siebie; nie znać w nim wahań, wątpliwości, ważenia dowodów za i przeciw. Rzekłbyś — Gumplowicz, który w społeczeństwie poszukuje niezłomnych, niezmiennych praw natury, pragnie, by z jego też przemawiała sama „natura rzeczy“, prosta, jasna, nakazująca. Charakterystyczną jest np. jego argumentacya przeciwsocyalistyczna. Gumplowicz utrzymuje, że „kapitalizm“ — kapitalizm Gumplowicz w sposób zgoła nie historyczny utożsamia z wyzyskiem jednej grupy przez drugą — otóż, że kapitalizm istniał zawsze i wszędzie i zawsze i wszędzie istnieć będzie. „Prawdy te — powiada — stwierdza socyologia na podstawie badania natury grup ludzkich (podkreślone przez nas). Czy nauki te przypadają do smaku socyalizmowi? Czy chciałby się utożsamić z niemi? Jeżeli nie, to niechaj zaprzestanie udawać naukę i socyologię“...

Gumplowicz — powiada P. Posner — należał do umysłów, u których „przeważa krytycyzm, bezwzględny, negatywny, logiczny, aż do absurdu, nie cofający się przed żadną najbardziej nawet „niekrytyczną“ sztuczną odpowiedzią. Gumplowicz np. wyprowadza ustrój państwowy z najazdu, odrzucając wszelką możliwość powstania państwa drogą niezdobywczą. Jeżeli go zapytamy: a utworzenie Rzeszy niemieckiej? — odpowiada: jest to podbicie, dokonane na drodze pokojowej. A... powstanie drogą umowy państw amerykańskich? — jest to narzucenie prawa i konstytucyi dzikiemu i niewykształconemu ludowi przez czynniki silniejsze, jest to najazd społeczny, dokonany przy pomocy adwokackich wykrętów“...

Zauważmy, że Gumplowicz, ograniczając swą teoryę, mógłby jej nadać mocniejszą podstawę. Mógłby np. odpowiedzieć, że w przykładach powyższych chodzi nie o pierwotne tworzenie się państw, lecz o powstanie nowego państwa z dawnych lub też o założenie państwa przez ludzi, do bytu państwowego zdawna wdrożonych. Ale Gumplowicz woli nawet sofizmatami podtrzymać bezwzględność swej teoryi, niż ograniczyć jej wszechmoc. Możnaby powiedzieć, że Gumplowicz nie chce w niczem osłabić jaskrawości swej teoryi, bo przez to charakter państwa, jako organizacyi panującej mniejszości, zamąci się i na spiżowem „prawie natury“ ukażą się rysy...

Według Gumplowicza, życiem społecznem rządzą niezłomne, wieczyste prawa natury. Ludzie są wobec nich bezsilni, zmienić ich nie mogą, ulegać im muszą. Marks powiedział, że ludzie sami tworzą historyę, nie dowolnie jednak, lecz na kanwie określonych warunków i przekazanych stosunków. Dla Gumplowicza sprawa ma się inaczej: to natura posługuje się ludźmi, aby dzierzgać stałe i niezmienne w istocie swojej stosunki pomiędzy nimi. Widzimy, że natura staje się tu metafizyczną po-

tęgą (u Gumplowicza spotykamy też nieraz zwroty w rodzaju: natura chce, natura sprawia i t. p.) — nad życiem społecznem ciąży nieubłagane fatum, niby owa postać symboliczna z pięknego grobowca Gumplowiczów na cmentarzu wiedeńskim. Dlatego też socyologia Gumplowicza ma zgoła niehistoryczny charakter, czego mały przykład już widzieliśmy, gdy Gumplowicz mówił o wieczystym „kapitaliźmie“ i o niezmiennej naturze grup ludzkich. Gumplowicz widział raczej wszędzie „kołowanie tych samych zbrodni, ubranych w szaty świeże, nowym wirujących tańcem“...

Naturalną jednostką społeczną jest grupa, a naturalnym żywiołem społecznym — walka pomiędzy grupami o byt, a zwłaszcza o lepszy byt i władzę. Ludzkość nie jest jednego pochodzenia, ale składała się od początku z mnogich ras. Hipoteza „wielopochodności“ jest koniecznym składnikiem tego systemu, który jaskrawo stara się uwydatnić n i e r ó w n o ś ć ludzi i grup ludzkich i z natury rzeczy niejako wynikający wrogi ich do siebie stosunek. Ze starcia grup różnoplemiennych wynika organizacya państwowa: grupa silniejsza podbija słabszą i dla stałego trzymania jej w ryzach tworzy państwo i prawo. Taki jest rodowód państwa, które po wsze czasy powstawało z podboju i taka też cecha znamienna każdego państwa, że jest to organizacya panowania mniejszości nad większością. Gumplowicz zdziera tedy nimb świętości z państwa, z ironicznem zadowoleniem, z sarkastyczną werwą wskazuje pod gronostajem i purpurą kryjący się brutalny interes. „Anarchista“! — wytykają go palcami, prawnicy niemieccy. Ale Gumplowicz nic wspólnego z anarchizmem nie ma: dla niego państwo nie rodzi się z idealnych motywów i nie służy idealnym celom, ale jest poprostu koniecznym tworem natury i zarazem koniecznym warunkiem cywilizacyi. Bo równość jest chimerą, a masy nieopanowane zdolne są tylko do zburzenia cywilizacyi.

Grupa społeczna jest wszystkiem — jednostka niczem lub prawie niczem... Może ona być tylko wyrazicielką lub wyobrazicielką grupy. Nie jednostka myśli, działa, nawet smakuje; myśli, działa, nawet smakuje w jednostce i za jej pośrednictwem grupa społeczna, do której jednostka należy. I tutaj znowu widzimy, jak u Gumplowicza grupa społeczna, podobnie jak natura, przeobraża się w fatalistyczną, metafizyczną potęgę. Mimochodem tylko podkreślimy ogromną wyższość historyczno-ekonomicznego realizmu marksowskiego nad tą naturalistyczną socyologią.

P. Posner obszernie i z wielkiem znawstwem omawia także prawno-polityczne badania Gumplowicza. W tej dziedzinie jednostronność Gumplowicza ujawniła się bardzo wyraźnie. Bez wątpienia Gumplowicz ma tę wielką zasługę, że w ustroju prawno-politycznym szukał żywej, społecznej treści, że wprowadzał do tej dziedziny pojęcia interesu, walki, zmagania się sił społecznych (co zresztą przed nim czynili socyaliści). Ale Gumplowicz, stosując wyłącznie ogólne swoje tezy socyologiczne, ignorował szczególny mechanizm urządzeń prawno-politycznych, ich swoisty charakter. Dlatego odrzucał np. pojęcie prawa państwowego, mówiąc, że państwo jest faktem naturalno-społecznym, jest organizacyą władzy, ale nie prawem. Dlatego, wychodząc z założenia, że nierówność jest cechą istotną, a równość urojeniem, że państwo opiera się właśnie na nierówności, odrzucał pojęcie r ó w n o ś c i w o b e c p r a w a, jako przeciwspołeczne i przeciwpaństwowe. I t. d. i t. d. Zwano też Gumplowicza „nihilistą“ w dziedzinie prawno-politycznej. A głównem, jak sądzimy, źródłem tego „nihilizmu“ było to, że fatalistyczno-naturalistyczna teorya Gumplowicza zmuszała go do patrzenia nie tylko na państwo wogóle, ale na każdy konkretny ustrój polityczny, na każdą konstytucyę jako na sprawę, od woli i czynności ludzkiej niezależną... Gumplowicz starał się być „logicznym aż do absurdu“, bezwzględnym i zaciekłym w przeprowadzaniu swojej tezy; był, że tak powiemy, jej zaślepionym kochankiem.

Ludwik Gumplowicz był przeciwnikiem socyalizmu, krytykiem demokracyi, pesymistą, prawiącym o „zwierzęcych instynktach“ mas. Ale taksamo bezlitośnie obnażał z szat ozdobnych państwo klasowe i klasy panujące. Mógł powiedzieć o sobie: „szczerze, nie oglądając się ani w prawo ani w lewo, nie szukając protektorów, nie schlebiając możnym świata ani tłumom ulicznym czy zorganizowanym masom, mówiłem zawsze, co widziałem, co czułem, co w ciężkim znoju przemyślałem. Jedną prawdę miałem, dla przyjaciela i dla wroga“...

Piękna praca p. Stanisława Posnera, umiejętnie rozkładająca światła i cienie, barwna i wymowna, daje nam doskonały portret wybitnego i śmiałego myśliciela-pesymisty.

Z antologii poetów belgijskich

Tłum. M. DĄBROWSKA.

GOŚCIE.

Otwórzcie ludzie, otwórzcie podwoje,
pukam u progu waszych szatr,
otwórzcie, ludzie, jam jest wiatr,
z umarłych liści szaty moje!

*

— Wejdź, wielki panie, wejdźże wietrze
oto dla ciebie miejce przy kominie,
z którego głębi otęcz złota płynie.
Wejdże do chaty, panie wietrze!

*

Otwórzcie, ludzie, jam deszcz-siekawica,
wdowam jest, w siwą szatę przyodziana,
z nitek mej szaty smętliwych utkana
dnia pochmurnego jest mgławica.

*

Wejdź i ty, wdowo, wejdź do chaty,
wejdźże, ty chłodna, posępna jak mary,
już się wilgotnych murów szpary
dla cię rozwarły — wejdź do chaty.

*

Unieście, ludzie, żelazną zaworę!
Otwórzcie, ludzie, jam jest śnieg,
mojego płaszcza biały brzeg,
otula drogi w grudnią porę!

*

— Wejdź że kurniawo, wejdź, pani biała
z zadymką płatków jak lilie czystych,
rozsiej je w chacie dżdżem łez srebrzystych,
aż tam, gdzie żywy ogień pała.

Bo my jesteśmy lud z posępnych chat,
północnych ziem mieszkańcy nieukojni,
co was miłują, hej, od iluż lat,
o goście, zło niosący — goście hojni.

Emil Verhaeren.

*

PIOSNKA KOSIARZA

(z powieści „Wiatr we młynach).

Wziąłem ci jasną kosę życia,
wziąłem ci śmierci kosę czarną
cich-ciach!...
na łąk srebrzystą idę rosę,
kwiaty się złote do stóp garną...
ciach-cich!...
Wziąłem ci jasną życia kosę,
com ją naostrzył na swym sercu
cich-ciach!...
Ktoś był śród łąki — śmierć mu niosę,
— nigdy już nie tknie on twych ust —
ciach-cich!...

Wziąłem ci jasną życia kosę,
wziąłem ci śmierci kosę czarną
cich-ciach!...
więź złotych kwiatów z łąki niosę
— zabite serce w kwiatach krwawi...
ciach-cich!...
Wziąłem ci jasną życia kosę,
włożyłem ci ją w śmierci dłonie;
cich-ciach!...
Ku wsiom dalekim szliśmy razem,
wsie morzem krwi spłynęły... ah!...
ciach-cich!... cich-ciach!...

Kamil Lemonnier

NUDA

Poszły sobie białe pawie, książęco niedbałe,
białe pawie precz odeszły od nudy przebudzeń,
dumne pawie współczesności, pawie srebrno-białe.
Ginie z oczu ich korowód śród snu mego złudzeń,

już nie dojrzę jak się wloką w grzęśl wód bezsłonecznych
współczesności białe pawie, książęco niedbałe.
Słyszę jeno senne pawie, z nudy osmętniałe,
jak czekają obojętnie czasów bezsłonecznych.

Maurycy Maeterlinck.

A. KALLAS.

ZNALAZŁ ŻYCIE.

GARŚĆ WSPOMNIEŃ.

Umarł Leopold Méyet, a dopiero teraz żyć zaczyna:

w pamięci ludzi wdzięcznych za wszystko, co daje się ojczyźnie miłej —

w dziajach społecznych narodu, gdzie każdy czyn wielki i twórczy trwa i przeobraża się w nieskończoności —

w wyobraźni setek tysięcy ludzi, którzy czy to słysząc, lub czytając o nim, wchłaniają to piękno, które promieniuje z czynów jego.

A tylko mała garstka przyjaciół odczuła boleśnie, że jednak nie czas jeszcze było tutaj na żniwo śmierci, że stało się coś okrutnego.

Było, że w młodości swej Leopold Méyet spotkał się oko w oko z potęgą, która druzgoce i najsilniejszych; — lecz zrozumiał wtedy, że można: ...„sercu zadawszy śmierć, znaleźć życie“... I wtedy to odczuł Słowackiego tak, jak przed nim nie odczuł go nikt. I pokochał go na wieczność całą,—mauzoleum dlań stworzył i ołtarz — i odtąd stał się najwierniejszym, najgorętszym wyznawcą twórcy Beniowskiego. A choć czcił także i Mickiewicza, a w Polsce całej, nikt w prywatnych zbiorach tyle co Méyet nie zgromadził pamiątek Mickiewiczowskich i takiego kompletu jego wadawnictw — choć i w studyach nad Zygmuntem Krasińskim jest sporo Méyet'owskiej zasługi, o czem dokładnie wiedzą ci wszyscy, co studyom tym poświęcają się teraz, — jednak z trójcy wielkich poetów naszych, najwięcej przecie umiłował Słowackiego. I trzeba było widzieć Méyeta, jak brał do ręki autograf listu wielkiego Juliusza, lub tegoż rysunek własnoręczny — Takby może najwierniejszy z chrześćjan sakrament przenajświętszy dźwigał w ekstatycznem upojeniu wiary.

Jest znaczna część naszej inteligentnej publiczności, co już przecie gdzieś, kiedyś słyszała, czy też czytała, że Méyet pierwszy ogłosił drukiem (dwa tomy) listy Słowackiego do matki podług autografów, a zaopatrzył objaśnieniami niezwykle cennemi. Ale czy wy wiecie, ile duszy Méyet wkładał w studya nad Słowackim, jak przejmował się twórczością i wszystkiem, co było Słowackiego?

Z duchami wielkimi przebywał, potęgą uczucia, umiłowaniem piękna zbliżony do tych duchów.

Nie był to tylko kolekcyonista i badacz literatury; był to artysta wielkiego umysłu i wielkiego serca. Sam nie napisał dzieła, coby zaświadczyło o tem; prócz paru nowel i szkiców, („do nieznajomej“ (Wilno 1882) „Liście“, fragmenty i szkice (Kraków 1895) nie wydał nic więcej z literatury pięknej. Ale artyzm jego przejawił się w czynach i to, co mówią i opowiadają zbiory Méyeta i to co zaświadczą kiedyś listy Orzeszkowej i Konopnickiej — stanie za świadectwo, że dał Polsce dzieła wielkiej miary.

Z listu Elizy Orzeszkowej odczytuję ustęp, odnoszący się do Méyeta.

...„Ogromnie cieszę się z wrażenia, które p. Méyet na Pani wywarł, bo jest to człowiek, dla którego od czasów niepamiętnych mam przyjaźń niezachwianą i niezwykłą. Z rzadką dobrocią, inteligencyą i uczynnością, łączy ładny dar pisarski. Dla mnie osobiście był zawsze dobroci niezrównanej“...

Ta przyjaźń niezwykła i niezachwiana przetrawał poza grób, pozostała w twórczości wielkiej powieściopisarki, bo wszakże pod wpływem Méyeta napisała Orzeszkowa „Meira Ezofowicza“, „Ogniwa“ i „Ad astra“.

A ten cichy pracownik, całe życie poświęcający budowaniu ołtarzy dla tych, którzy odchodząc smętni, spełnili przecież wszystko jako duchy żórawiane, wieczną w ziomkach budząc tęsknotę za tem co nieśmiertelne, — jakże on umiał być praktycznym, gdy chodziło o wspomożenie bogactw nie dla siebie, a dla chwały kultury polskiej i dobra społecznego? Skromny i oszczędny dla siebie posiadał hojną, otwartą dłoń, gdy chodziło o istotne wspomożenie, czy fundacyę, czy datek jaki.

Dawał dużo, dawał tak wiele, że dziś ogromu jego darów objąć jeszcze nie możemy. Starczyło duszy i serca dla wszystkich, z którymi zetknął się kiedykolwiek.

Więc jakże mi dzisiaj o nim pisać, gdy nijak z myśli nie wyrwać smętku o tej mogile świeżej tam, na ponurym cmentarzu żydowskim w Warszawie...

Żyd-polak — tak pisano o nim w nekrologach. A przecie on sam nigdy nie podkreślał tego w sposób taki, jak to teraz czynić się zwykło.

Na mnie osobiście robił zawsze wrażenie artysty z epoki odrodzenia: niezwykle wykwintny, wykształcony, piękny tą nadzwyczajną harmonią w gestach, w mowie, spojrzeniu i w ruchach, — co sprawiało, że ujmował sobie ludzi, a zarazem wzbudzał ten dostojny szacunek, który natrętów prostackich trzyma z daleka.

Że z powodu „żydostwa“ cierpiał niemało, to wiem z jego listów. Ale o ile dotyczyło to jego osoby, nie żalił się, ani pamiętać chciał o tem. Uczył też czynami, jak to należy nie zrażać się uprzedzeniem, nie widzieć niechęci, ani tej przepaści kopanej na nowo, właśnie w czasie, kiedy się zdawało, że mosty budowane z tej i tamtej strony przetrzymają nawałnicę. Iść i czynić, nie patrząc w przepaść i położyć się wzdłuż, ofiarnikiem, nie mówiąc, że to ofiara

Iść i czynić —

Lecz ci, co nie spoglądali na ofiarę, nie wierzą...

Bo i jakże tłomaczyć to sobie, że z pewną urazą wspominają tu w Galicyi o tem, że tylko Warszawa winna trochę wdzięczności Méyetowi, bo tylko tam pracował i Warszawie zostawił swoje bogate zbiory, zapisy i fundacye.

Oto jak się mści, żeśmy rozerwani zaborami.

Wszakże dając Warszawie, daje się też i Polsce całej.

Méyet nie uznawał granicznych pasów, ani różnic wyznaniowych.

„Oto człowiek“ — powiedział niegdyś Napoleon I. o Goethe'ym.

„Oto człowiek!“, powiedzą późniejsze pokolenia o Méyecie.

I tak umarły, znalazł życie najpiękniejsze, na jakie zapracować można.

BENEDYKT HERTZ.

KABOTYN.

NOWELA.

Bardzo ze siebie zadowolony odniósł ten list na pocztę, by go polecić. Gdy wręczał kopertę sztywnej, jak z drewna wystruganej, urzędniczce, chciał się cofnąć i zawołać: nie, nie potrzeba! Ale urzędniczka właśnie na niego podniosła oczy, więc czuł się w obowiązku objąć ją rozmarzonem wejrzeniem.

Złożył starannie kwitek i ukłonił się panience.

Zawrócił ku drzwiom i zrobiło mu się jakoś niewygodnie na świecie.

W drzwiach stała Stefka, krzykliwie wystrojona, jakby na niego czekając.

— Słuchaj, trąba — rzekła, gdy ją mijał. — Nie możesz mi pożyczyć pięciu blatów?

— Mam wszystkiego trzy.

— Ha, trudno. Niech będzie trzy. — A wrzucając pieniądze do torebki, dodała: Co u ciebie słychać? Dawnośmy się nie widzieli.

— U mnie nic nowego.

— Ty, głupi, nie daj się byle szmacie nabierać. Ja ci to mówię, a pamiętaj, że jestem życzliwa.

Ćwik ze zdumienia aż stężał. W końcu pocałował ją w rękę z uczuciem wystrofowanego dziecka.

— Na obiad masz? — zapytała troskliwie.

— Zdaje się...

— Bo jeżeli niemasz, to ci dam.

Otworzyła torebkę i wysypała trochę drobnych.

— Na, schowaj. — A kup sobie nowy kapelusz, bo w tym cylindrze wyglądasz, jak stary dureń. Aż wstyd pokazać się z tobą na ulicy.

Kiwnęła głową i wyszła, szeleszcząc jedwabiami.

Spotkanie to wyobrażał sobie zupełnie inaczej.

*

— Klimka kochana, droga, jedyna!

Familiarność Stefki jeszcze mocniej rozbudziła w nim tęsknotę za życiem we dwoje, w cichem gniazdku; za tym pantoflowo-szlafroczkowym sentymentem stosunku małżeńskiego lub bodaj jego surogatu.

Przypomniał sobie, jak kiedyś chorował na katar kiszek, a Witecka — żeby go zmusić do odpowiedniej dyety — sama nie jadała przez cały miesiąc nic innego na obiad, jak kleik. Wreszcie doszło do tego, że dyetę ową tylko do siebie stosowała, choć była zdrowa, bo Józef nie mógł już wytrzymać i śniadankował po handelkach.

Klimka droga, jedyna!

M. JACKIW.

FAŁSZERZ KRYTYKI.

Od dłuższego czasu interesuje się szerszy ogół polski poezyą i literaturą ukraińską. Od krytyków, którzy zadali sobie nie mało trudu nad pogłębieniem istoty nowych twórczych objawów na niwie ukraińskiej, odbiegł specyalnie p. dr. Stanisław Zdziarski i zabrawszy kazuistycznym zbiegiem przypadku ten dział w arendę, sypie jak z rogu obfitości recenzyę za recenzyą — gdzie go nie posiejesz — wczoraj w „Słowie Polskiem“, dziś w krakowskim klerykalnym miesięczniku „Przeglądzie Społecznym“, lub też w „Świecie Słowiańskim“, w końcu w lwowskim kwartalniku „Ruś“ i t. d. A mnoży p. Z. całą moc swych krytyk i studyów na temat Młodej Ukrainy i zależy mu na pośpiechu tak dalece, że z artykułu w „Rusi“ odczuwa się stęchliznę zatłuszczonej książeczki do modlenia, co pozwala przypuszczać że artykuł ten był przeznaczony do „Przeglądu Powszechnego“, zaś artykuł, zamieszczony w „Świecie Słowiańskim“, był pisany dla „Rusi“, lecz wycofano go stamtąd przed czasem, czy dla braku pieniędzy, czy z innych powodów, i w ostatniej chwili nie zdołano nawet przewietrzyć i wytrzepać należycie.

— — — — — — — — — — — —

P. dr. Zdziarski ma ciekawy sposób w przemycaniu swoich artykułów; chwyta pierwszą lepszą nową ukraińską książkę i kartkując ją z delirycznym pośpiechem wyławia miejsca zaopatrzone wykrzyknikami i nakręca je do takich szablonów: „apoteoza anarchizmu“, „pesymizm“, „nienawiść krańcowa“, „apoteoza zbrodni pospolitej“, „ukryta złość“, „apoteoza śmierci“ i t. p. straszydła, i preparuje takie ogólniki: „Dawniejsza literatura ruska apoteozowała rozmaite dusze o rozmaitych instynktach, żeby tylko wymienić takich jak: Chmielnicki, Gonta, Nalewajko, czy Żeleźniak. Obecnie najmłodsza generacya rozpętała takie instynkty, że zamiast piękna i dobra szargają swe talenty w błocie...“ („Świat Słowiański “Nr. 80 — 81, str. 156, r. 1911, Kraków), albo: „Co prawda — poezya małoruska nurzała się dotychczas dowoli w kałużach rozmaitego błota, apoteozując nawet zbrodnie pospolite, obecnie poszła o krok dalej, świadcząc o kompletnej degeneracyi instynktów najpierwotniejszych.“ („Ruś“, zeszyt III., str. 321, Lwów 1911).

Rozumie się, że kto z takim aparatem etyki, kultury, nauki i inteligencyi zabiera się do pracy, ten może najwsteczniejsze łajdactwa wywitrychować nawet ze „Żywotów“ i ze wszystkich „świętych pism“.

Oto jest pierwsze stałe założenie, jakiego używa w swem laboratoryum p. dr. Zdziarski. Ma ono przedsmak sensacyi, trącących widmami alkoholu, i nuże, podsunąć je krakowskim niekompetentnym redakcyom lub pensyonowanym znawcom historyi Ukrainy w red. lwowskiej „Rusi“, z której łona wyszła broszura „Un danger del'Europe“ i szepnąć z tajemniczą miną Spiegelberga: „Czuj duch! Nie wierz tym Ukraińcom, w nich odzywa się krew Gontów, Nalewajków, Żeleźniaków!“, a czytelnicy

---

A co to była za kobieta! W ubraniu wprawdzie baryłkowata; ale biała, jak alabaster, pulchna, jak pierzyna.

Przypomniał sobie list, który dopiero co wysłał i aż stanął na środku ulicy.

— A kiep ze mnie, kiep! Com ja uczynił.

Może zatelegrafować?

Zapóźno. List i tak odbierze i co sobie o tem wszystkim pomyśli?

Zresztą — Cesia...

Nagle przyszło mu do głowy, że jest to sytuacya, trochę przypominająca rolę Wilhelma z „Końca Sodomy“ i tem się nieco pocieszył. Ale w domu znów popadł w czarną rozpacz.

Odsunął łóżko i jął miarowo bić głową o ścianę.

Po chwili ktoś zastukał do drzwi. Nie przerywając zajęcia, Ćwik wykrztusił:

— Proszę...

W drzwiach stanęła Szablicka, która mieszkała w sąsiednim pokoju.

— Co pan znów wyrabia? — spytała poważnie, spoglądając na nieszczęśliwego z wyżyn swej dostojnej postawy.

— Antka, wybacz, jeżelim cię obudził, ale... ja jestem taki, taki nieszczęśliwy! — zakrył twarz i począł na nowo pukać czołem w ścianę.

— Przedewszystkiem proszę przysunąć łóżko. Akurat zachciało się z tej strony.

— Bo z tamtej ktoś obcy mieszka.

Przysunęli łóżko, poczem Ćwik, nie mając już wolnej ściany, jął biegać po pokoju, jak Rapacki w roli Shyloka.

Antonina zatrzymała go i kazała usiąść.

Przybrał pozę Hamleta i zaczął:

— Być, czy nie być...

A potem opowiedział szczegółowo, z jakiego powodu cierpi i pootwierał wszystkie zakamarki swej duszy.

Skończywszy, przyjrzał się obojętnej, trochę znudzonej twarzy Antoniny, poczem wstał, ogarnięty powrotną falą rozpaczy i zaczął delikatnie, ostrożnie tłuc głową w ścianę, za którą mieszkał człek obcy.

— Et!... — Szablicka wzruszyła ramionami i wyszła.

*

Od dwu tygodni Cesia byłę w teatrze. Robiła tłum w scenach zbiorowych, a w domu pod okiem Ćwika „studyowała“ kilka ról, do których, jego zdaniem, była stworzona.

Aż nadszedł taki dzień, w którym dziewczyna miała nareszcie wystąpić na scenie „solo“. Trzeba było wnieść tacę z listem i powiedzieć: „Proszę pana“.

— Nic się nie bój — uspokajał ją sufler. — Będę cię trzymał. Gadaj śmiało, ruszaj się śmiało. Zresztą wiedz, że niema prawdziwego artysty bez tremy. Odważnie Licz na mnie.

Z tą myślą wlazł do budy. Akt pierwszy przeszedł szczęśliwie. Cesia nie „sypnęła się“. Ćwik był szczęśliwy po raz pierwszy od chwili wyprawienia nieszczęsnego listu do Witeckiej, od której

łatwowierni, z zajęczą skórą, uwierzą i interes pójdzie!

Żeby zaś dzieło miało płaszczyk krytyki, nauki i wogóle ekspertyzy, podmaszcza je p. dr. Z. cytatami ze Szewczenki i pisze:

„Żywa dusza poetowa świataja,
Żywe w światych twoich reczach,
I my, czytaja, ożywajem
I czujem Boha w nebesach“...
(„Ruś“ str. 319).

A w artykule do „Świata Słowiańskiego“ daje cytat ze Szewczenki na końcu:

„Schamenites... bud'te lude,
Bo łycho wam bude“.

Ale tego jeszcze za mało.

Panu Z. o samą sztukę nie chodzi. A niech ją dyabli!... Tutaj rzempoli inna struna: polityka — a tę przecież w krytyce poezyi można przemycać tylko krętemi ścieżkami perfidyi, insynuacyj i kłamstwa.

Oto dalsze sekreta djabelskich specyfików:

Mocnych autorów nie zaczepiać, bo można popaść w kolizyę (najlepiej o nich ani słówkiem nie wspominać, bo tu już czysta poezya i sztuka, a p. Z. nie o to chodzi), zwracać uwagę tylko na średnich, lecz tak, by udało się zmącić wodę w ich krynicy.

Jeszcze inny eksperyment: Pan Z. zbytecznie zwraca uwagę na tych, którzy fabrykują publicystyczne wierszydła, i wynosi ich pod niebiosa, zapewne z pałubiczną myślą pokazania polskim czytelnikom, jakimi to prymitywami operuje jeszcze ukraińska poezya.

Dla przykładu przeprowadźmy sekcyę przynajmniej jednego takiego potworka, jaki wydał na świat p. dr. Stanisław Zdziarski w 3-cim zeszycie lwowskiego kwartalnika „Ruś“, redagowanego (o, zgrozo i ironio!) przez emerytowanego znawcę ducha ukraińskiej historyi, p. Fr. Rawitę Gawrońskiego.

Tytuł, rozumie się, musi być sensacyjny, a więc: „Lirnicy poczajowsko-zarwaniccy“. (Z powodu książki p. t.: „Antologia współczesnych poetów ukraińskich“. Lwów 1911).

„Rzecz specyalnej uwagi i osobnego rozpatrzenia godna, jakie powody złożyły się na objaw znamienny, cechujący najnowsze prądy wraz z ich przedstawicielami?“

Tak zaczyna p. dr. Z., potem spuszcza z tonu i przechodzi do pesymizmu w literaturze europejskiej i ni stąd ni z owąd, nie mając pojęcia o jej podłożu duchowem, imputuje go poezyi ukraińskiej (to przecież tak łatwo i pięknie z pod pióra wychodzi!). Dalej, rozumie się, że p. Orkan musi się zaraz we wstępie do wymienionej książki „mylić“, bo jakżeby inaczej kontrast między nim jako poetą, a p. dr. Zdziarskim jako „krytykiem“ wyglądał!? To zresztą popsułoby interes p. Zdziarskiemu mieć prawo wyłącznego przedsiębiorcy w sprawach ukraińskich. Przecież „wiadomo — pisze bystry krytyk p. Zdziarski — „że poeci bywają przeważnie najgorszymi krytykami“!

P. Zdziarski nie chce się zresztą p. Orkanowi narażać, owszem stara się pozyskać go sobie, gdy pisze, „że Małorusini, przewyższający naród polski ilościowo dwukrotnie, nie mogą pochlubić się nazwiskami tej miary bodajby co nasz Orkan“, ale czyni to aż przy samym końcu artykułu, a tym-

---

nie odebrał żadnej odpowiedzi, co jeszcze bardziej potęgowało jego rozpacz.

Sztuka szła normalnie. Ćwik podpowiadał starannie, choć myślał o najrozmaitszych sprawach. Stosunek z Klementyną nie da się już naprawić — to darmo. Tylko co ona tam robi nieszczęśliwa? Musi jej być bardzo źle z mężem. Trudno: nie trzeba było tak bardzo przejmować się jego kaszlem.

Cesi nie śmiał Ćwik dotąd czynić żadnych propozycyi, ale nie wątpił, że przyjdzie na to pora. Z takiem dziewczęciem trzeba bardzo, bardzo delikatnie. To mimoza. W każdym razie dzisiejszy debiut jest jego zasługą i Cesia oceni to z pewnością.

Akt trzeci miał się ku końcowi. Nagle stało się coś nieoczekiwanego. Sufler w budzie zamilkł.

Próżno Franek dawał mu rospaczliwe znaki, kopał nawet. Ćwik, oniemiały, siedział z oczyma, utkwionemi w lewą kulisę i z szeroko otwartemi ustami. Ukryty za papierowem drzewem, Antek lewem ramieniem obejmował Cesię, wetknąwszy jej prawą rękę nieskromnie za stanik. Odchyliła głowę, nadstawiając usta. Antek całował. Wreszcie cofnęli się głębiej w kulisę — tak, że stracił ich z oczu.

Zdawało mu się, że ktoś budę rozwalił i ta pada mu na głowę. Chciał krzyknąć, lecz opamiętał się. Zaczął gorączkowo szukać miejsca, w którem czytać przestał, ale litery i wiersze goniły się po papierze, tworząc jedną szarą masę.

Bohater klął prawie głośno:

— Psiakrew! gadaj pan, do stu choler!

Raptem szum pod czaszką ustał i Ćwika ogarnął taki spokój, tak mu się w głowie zrobiło rzeźwo, jak gdyby ktoś chlusnął w nią zimnej wody. Odnalazł nagle zgubiony ustęp i podpowiadał ze zwykłą precyzyą.

Raz tylko odważył się spojrzeć w lewą kulisę. Stał tam inspicyent i dawał znaki maszyniście.

Kurtyna spadła przed nos suflera.

Starannie złożył egzemplarz, powkładał we właściwe miejsca luźne kartki i zgasił lampę w budzie.

*

Zajrzał do męskiej garderoby.

Antek siedział bez surduta przed małem lusterkiem i szmalcem zmywał z twarzy szminki. Obok niego Wacek obrywał sobie wąsy. Tyłem do nich Franek, cały w bieli, łokciami oparł się o stół i w dłoniach ukrył głowę.

Usłyszawszy kroki Ćwika, porwał się.

— Trzeba być skończoną kanalią! Coś ty mi zrobił! Na pysk się przez ciebie położyłem.

— Przesada — zauważył Antek.

— Ale zawsze... — zauważył Wacek.

— Po takim skandalu nie mogę się jutro pokazać publiczności.

— Tyś winien wszystkiemu — wybełkotał wkońcu Ćwik, patrząc Antkowi w oczy.

(Dok. nast.)

czasem idzie mu o co innego. Idzie mu o wywołanie sensacyi wśród bezkrytycznych czytelników, żeby ich odrazu oślepić. Zaczyna z liryczną emfazą od Szewczenki i zapytuje z gestem odpustowego kaznodziei: „Lecz czyliż istotnie poeci, pomieszczeni w „Antologii", pojęli tak szczytnie swoją misyę? Czy takim ideałom hołdują, o jakich mówi Szewczenko?" (Pauza z trzech kropek). „Niestety" (Wykrzyknik i pauza.) „Nie miłość dyktowała przeważną część utworów piewcom „młodej Ukrainy", lecz nienawiść krańcowa, chociaż starano się ją wygładzić w przekładach, bądź też pomijano milczeniem grobowem pisarzy, przesiąkłych do szpiku kości owem zacnem uczuciem, pospolitem hordzie pierwotnej. Ta nienawiść — to jakby najwyższe przykazanie, zapoczątkowane przez patryarchę „młodej Ukrainy" w prologu do poematu „Mojżesz", drgać będzie nutę złowieszczą bez przerwy, nawet u najmłodszych" (Wykrzyknik).

I odrazu na wstępie pomija p. dr. Zdziarski aż sześć głębokich, wprost przepięknych poematów tegoż autora i wyrywa z siódmego trzecią strofę z „Prologu" do poematu „Mojżesz", strofę bólu nad czarnem przeznaczeniem narodu ukraińskiego, i zaczyna węszyć rozstrzeliwszy słowa i fałszując dwukropek pytajnikiem „c z y n a w i e k i s k a r a n i e m b ę d z i e t w o j e m u k r y t a złość?".

Mam lat blizko czterdzieści; widziałem wiele w swem życiu i czytałem wiele, lecz wyznaję otwarcie: podobnego przejawu zgnilizny moralnej w poważnej krytyce i w nauce nie spotykałem nigdy.

Idźmy dalej.

Drugie miejsce po Iwanie France zajmuje w „Antologii" Mykoła Filańskyj, młody, lecz prawie najdostojniejszy syn Muzy ukraińskiej. Zareprezentował go tłumacz hojnie aż 11-stoma wierszami („O świcie", Z cyklu: „Za Ekklezyastą", „W obczyźnie", „Głos ojczystych łanów", „W samotności", „Strzelisty rząd jaworów", „Kwiecień", (Z cyklu „Cordis Calendarium"), wreszcie „Z Psalmów: I.) „Z dłoni Twej" II.) „O chwała Ci!..."

„Z n a w c a i k r y t y k" ukraińskiej poezyi i literatury, p. dr. Stanisław Zdziarski — przeskakuje ośm kartek książki i ani jednem słowem nie wspomina o Filańskim!!

Konstatuję, że doktor Z. czuł się tutaj albo niekompetentnym, albo niegodnym do omawiania szczytnej poezyi Filańskiego, albo widział się wprost zmuszonym milczeć, bo nie mógł ani rusz odkryć „żądła nienawiści" i uczynić z Filańskiego naciąganego argumentu dla swego politycznego maniactwa i zwyrodniałej perfidyi.

O poecie Karmańskim rozpisuje się p. Z. najobszerniej. Nie obeszło się i tu bez politycznego węszenia, lecz że Karmańskyj „przepojony jest do głębi serca nienawiścią ku wszystkiemu i ku wszystkim", p. Z. sili się choć coś niecoś uklecić i przypina mu order „b i e r n e j n i e n a w i ś c i" rozstrzelonym drukiem tak, żeby bezkrytyczny czytelnik przy pobieżnem czytaniu miał wrażenie bezsilnej wprawdzie, lecz także nienawiści, o którą p. Z. koniecznie chodzi.

„Czy — godzi się zapytać dalej" — pisze p. przedsiębiorca krytyki ukraińszczyzny — „czy wolno poezyi apoteozować nienawiść" (stały, nieuleczalny termin p. Z.) — „czy wolno szerzyć w społeczeństwie zarazę zła, czy wreszcie złem, jakiem jest niewątpliwie nienawiść, zbudował którykolwiek geniusz, nawet światowy, co bądź dobrego i trwałego?..."

Pominąwszy jezuicką ohydę w powyższej stylizacyi pytań i insynuowanie takiemu poecie jak Karmańskyj „apoteozy nienawiści i szerzenia w społeczeństwie zarazy zła", pominąwszy ten zasadniczy, fałszywy ton, który o duchowym poziomie p. dr. Z., o jego tężyznie mózgowej w pojęciach dobra i zła daje wybitne świadectwo, — muszę zauważyć publicznie, że pan doktor nie tylko nie ma pojęcia o literaturze ukraińskiej, l e c z b r a k m u p o d s t a w o w y c h w i a d o m o ś c i z l i t e r a t u r y e u r o p e j s k i e j.

A przecież nawet ci trzecio- i czwartoklasiści gimnazyalni, na których się p. krytyk w swym artykule powołuje i których „wiersze" stawia wyżej od poezyi Osypa Makoweja, uczyli się o Byronie, Shelley-u, Baudelairze, Lermontowie, Nietsche-m, i wielu, wielu innych!

Nawet biblijny Szatan — powiadają niektórzy przodownicy myśli — przemógł dziś samego Boga!

Mówiąc o Aleksandrze Ołesiu, legitymuje się p. Z., że „pisał o nim wyczerpująco na innem miejscu" i podaje w nawiasie, że właściwe nazwisko tego poety jest Stepanenko — my tymczasem wiemy pewnie, że właściwe jego nazwisko jest K a n d y b a.

P. Z. nie zna nawet właściwego nazwiska tego, o kim „pisał wyczerpująco"!

O Wasylu Paczowskim pisze p. Z., że „duszy tego poety nie tknął jeszcze robak zepsucia". Według wiadomości psychologicznych p. Z. taki, którego „nie tknął jeszcze robak, idzie w życie z wiarą i otuchą wielką" (powiedzmy krótko: jest wesół), a kogo „tknął" — ten jest smutny i „apoteozuje nienawiść", „ruch anarchistyczny" i „zbrodnie pospolite". — He-he...

W poezyi Krymskiego znalazł p. Z. tylko „Miłość Haniebną" i ucieka od tego, jak się wyraża, „poety", szerzącego wokół miazmaty choroby, stokroć groźniejszej od patologicznej cholery lub dżumy".

Trąci ten styl p. Z. pijaną dewotką, lecz nie wyjaśnił nam p. dr., dlaczego uciekł od takich poetów jak B. Łepkyj, W. Samijłenko, P. Hrabowskyj, O. Hrycaj, M. Kiczura, S. Czarneckyj i inni i dlaczego nawet tyle o żadnym z nich, co o Krymskim nie wspomniał?

Otóż dlatego, bo u nich również nie było nic z p o l i t y k i do wywęszenia.

Paradny sobie jest p. Z. w tem miejscu, gdzie robi wymówki tłomaczowi, poecie ukraińskiemu, dlaczego nie zaprezentował w „Antologii" tych grafomanów przeważnie, którymi p. Z. bardzo się zachwyca, a mianowicie: Teniankę, Kapelhorodskiego, Onackiego, Fr. Kokowskiego, M. Pidhiriankę i i.

P. Z. próbuje walczyć o palmę pierwszeństwa w kunszcie poetyckim z p. S. Twerdochlibem i na dowód swej ekspertyzy próbuje tłomaczyć utwory (nie umieszczone w „Antologii") Łesi Ukrainki i publicystyczne wierszydła wyżej wspomnianych grafomanów — te ostatnie rozumie się prozą.

Niestety! Treść tych ostatnich nawet w gazeciarskim artykule nie zrobiłaby wrażenia.

Śmieszny zaprawdę i politowania godny jest p. dr. Z. w tej fatalnej pozie kulawego, który

sili się pokazać i uczyć nas gracyi klasycznego tańca.

A przecież niechby taki „ekspert" poezyi ukraińskiej jak p. Z. wskazał nam, które poezye jeszcze należałoby wziąć do „Antologii" z tych „poetów", jakich wymienia? Czy wogóle potrafiłby doszukać się tam poezyi i nas o tem przekonać?

Mimo, że tłómacz, sam poeta, wybrał to, co uważał za dobre, a p. Z. zna utwory w ukraińskiej poezyi „jeszcze lepsze", mimo to konkluduje pan Z. tak: „W chwili obecnej, w której spór małorusko-polski zająłrzył się do granic ostatecznej krańcowości, „Antologia" świadczy sama wymownie o bezpodstawności pretensyi małoruskich".

Szan. Czytelnik zoryentował się już zapewne, w czem tutaj sęk?

A teraz jeszcze jedno bardzo ciekawe spostrzeżenie.

Czy słyszeliście kiedy, by matka-gospodyni wyraziła się, że jej dzieci są lepsze, niż dzieci tej matki, która u niej jest gościem?

Mnie nie zdarzyło się nigdy w żadnej literaturze czytać, żeby krytyk przyjął tłómaczenia obcych poetów na swój język niejpierw tytułem: „L i r n i c y p o c z a j o w s k o - z a r w a n i c c y", a swe uwagi, jakie powyżej przeanalizowaliśmy, zakończył w ten sposób: „Poezye najlepszych małoruskich mistrzów nie wzniosły się wiele ponad niewinne rymowania Jantka z Bugaja, człowieka, który samouctwu wszystko ma do zawdzięczenia. Gdybyśmy chcieli równych miarą najlepszym poetom małoruskim naszych twórców brać do antologii, antologia taka musiałaby być najmniej sto razy tak obszerna, co omówiona.

I naprożno kusiłby się kto o wierniejszą charakterystykę „młodej Ukrainy", jaką zawarł w swojej rzeźbie, umieszczonej na karcie tytułowej p. Z. Kurczyński, przedstawiając obdartego dziada z instrumentem ladajakim na plecach.

Zarwanicko-poczajowska to poezya..." kończy p. dr. Zdziarski. Za tę ostatnią mistyfikacyę w żywe oczy, będzie p. Z. wdzięczny polski artysta-rzeźbiarz p. Z. Kurczyński. Że też p. Z. tak trafnie rozpoznał, co przedstawia znana rzeźba („Muzyk"), o której tak pochlebnie pisał p. Tadeusz Rutowski w lwowskiej „Sztuce".

O poziomie ideowym i duchowym i o sumienności p. dra Z. w pracy my mamy dokładne wyobrażenie.

A przecież tego rodzaju rzeczy, jak jego artykuł, zamieszcza lwowski kwartalnik „Ruś", a nawet — rzecz dziwna — krakowski „Świat Słowiański", który przecież drukował tak piękne prace, jak rzecz „O życiu i działalności ideowca Markiana Szaszkiewicza" pióra zaszczytnie znanego tłómacza Słowackiego, Szewczenki i „Antologii", p. Sydora Twerdochliba.

Ani powaga krytyki literackiej, ani nauka, ani wzajemny szacunek nie zyskają na tem, gdy wydawnictwa polskie będą w sprawach ukraińskiej kultury opierać się na elukubracyach ludzi złej woli i nieuków. Przynajmniej w rzeczach kultury i sztuki stosunków między dwoma narodami mącić nie powinny względy polityczne, szowinizm, czy zła wola, na wzajemnych oparta uprzedzeniach.

STEFAN GACKI.

Z teatru.

„Brand", poemat dramatyczny w pięciu aktach (ośmiu odsłonach) Henryka Ibsena, przekład J. Kasprowicza.

Gdy, usuwając się od walki i pracy, epilogiem dramatycznym zamykał Ibsen wielką symfonię swego życia, w samym tytule tego pożegnania ze światem leżała harda, z dumnego samopoczucia wyrosła zapowiedź nowych, innych zwycięstw i przyznanie się do tej siły fatalnej, co „gryźć was będzie niewidzialna" i z każdej teraźniejszości czerpać dla siebie nowe uzasadnienia swych założeń, nowe motywy do realizacyi swych snów o jutrze.

To niewyżycie się w jednej epoce, to przełamanie naturalnych granic życia jest jedyną dościgalną formą nieśmiertelności, jedynym i największym tryumfem ducha nad nieubłaganem prawem znikomości wszelkich spraw ludzkich i zamierzeń.

Największą też roskoszą dla oczu widzących jest śledzenie tych podbojów czynionych w krainie dusz przez ducha, z którego na tym świecie pozostał tylko sławny dźwięk jego nazwiska i to coś, co nie jest już nawet ani słowem, ani literą, ani mową, ani książką. Czy jednak Ibsen był jedną z tych postaci, które dopiero jakieś słońce dalekiego jutra rozświetlić ma należycie? Czy, jeśli zestawimy go z innymi duchami, które przez swe ciążenie ku jutru zapowiadały chwilę swego zwycięskiego zmartwychwstania, nie okaże się, że promieniowanie jego było może szersze, ale też i bardziej czasem określone, mocniej z podwalinami życia związane, ale też i bardziej od ich losu i form zależne.

Ibsen — Brand nowy buduje kościół, ale gdy staje pod jego murami, sam się odwraca od nich, Boga w nich nie widzi już, bo ten Bóg jest daleko, nie w zrealizowaniu marzenia, ale w tem, co się zrealizować nie daje, jest tęsknotą, a nie wytężaniem wzroku.

Ta jest tragedya Ibsena i jego bohaterów, że błyszczący pod chmurnem niebem sopel lodu biorą oni za żywe światło, a gdy go ściągną na ziemię, we własnych gorących łzach go rostapiają... I tu się dopiero ból zaczyna.

Ale przez to właśnie dramaty Ibsena tak blizkimi były współczesnego człowieka. Tułaczom utrudzonym po wybojach życia i wykrętnych szlakach historyi cóż nam pozostaje na pociechę, jeśli nie to mierzenie przebytych dróg i nie ta wiara, że od jednego zawodu prowadzą nas one ku innej nadziei.

Żaden z bohaterów Ibsenowskich nie zwycięża, jak dusza współczesna nie zna wytchnienia ni ukojenia w ostatecznem rozwiązaniu dręczących ją zagadek.

Brand również nie tylko że nie umie pojednać się ze swym ludem i swym bogiem, ale nawet

z samym sobą, w ciągłej żyje niezgodzie i w ostatniej chwili tam, pod lawiną, gdy dalekie niejasne majaczy przed nim niebo, wystawia on sobie w niem wszystko, to co porzucił, czem wzgardził tu na ziemi; widzi znów swą żonę, którą zamęczył w imię przywidzeń, dziecko, które poświęcił dla swych urojeń. I to jest znów najistotniejszy, jakby powiedzieć Ejnar, ból tej okrutnie umęczonej duszy.

Jest to również najtragiczniejszy moment dramatu. Nie umiem dopatrzeć się poza tem wielkości w tak dziwacznie, po maniacku matematycznie stosowanej dewizie: wszystko, albo nic! Walka z kompromisem zdaje mi się być daleko głębiej umotywowaną i logiczniej prowadzoną we „Wrogu ludu“ chociażby, a cała ideologia Branda jest dla mnie tylko sprowadzaniem do absurdu całego katechizmu przez bezduszne, nieludzkie jego stosowanie.

Ibsen nie zaniechał zresztą niczego, by jak najmniej sympatycznym uczynić nam swego bohatera: z apostoła robi inkwizytora w stosunku do swych najbliższych, fanatyka, który w dążeniu do boskiej doskonałości zatraca wszelką ludzkość uczucia; z buntownika, który gardzi niebem i bogiem tego robactwa co pełza, robi szaleńca, dla którego szpital waryatów byłby stokroć słodszem i odpowiedniejszem schronieniem, niż dumny sen pod lawiną.

A czego nie dokonał sam Brand i konieczne zresztą, ale nieumiejętnie poczynione skróty, to dopełniło niestaranne, rażące niekonsekwencyami wystawienie sztuki. Bo proszę sobie tylko wyobrazić: na tle lodowców, przesadnie zimowego pejzażu, w którym nie zapomniano ani o jednej gałązce, by nie upudrować jej grubą warstwą śniegu, biegają nietylko półnagie nędzarki ale nawet sam Brand z odkrytą głową, w surducie i miękkiej, głęboko dekoltowanej koszuli półgodzinne prawi perory — miałem poważne obawy o dalszy ciąg sztuki w przewidywaniu, że to pierwsze płomienne wystąpienie Branda zemści się nań conajmniej zapaleniem płuc. W następnej za to scenie, w upalny letni dzień Agnieszka ma na sobie ten sam biały jersey, w którym poprzednio odbywała wycieczkę na lodowce.

W innym znów momencie na tle ciasnych kulis wstaje księżyc, czy zorza północna, (bo z natury tego zjawiska nie umiałem sobie bliżej zdać sprawy) ale czerwona ta kula zjawia się odrazu na środku nieba i odrazu w całej swej jaskrawej, pocułowatej okazałości, a po ciemnej fali zaczynają jednocześnie pływać jak ogniste placki plamy krwawe, których nie powstydziłby się najzuchwalszy impresyonista.

Premierę poniedziałkową ratował jednak poniekąd pietyzm, z jakim artyści wzięli się do wystudyowania swych ról. Lwia część tego zadania spadała na p. Adwentowicza, pomijając bowiem nawet trudność pamięciowego opanowania olbrzymiej roli, ustalenie wewnętrznej fizyognomii Branda wymagało dług.ch studyów i sumiennego opracowania. P. Adwentowicz salwował się chwilami patosem, ale umiał kłaść w niego akcenty szczerego bólu i utrzymać postać całą w stanie ciągłego napięcia, co męczyło może trochę słuchacza, ale zgodne było z założeniem sztuki i widoczną intencyą autora.

W niemniej trudną rolę Agnieszki potrafiła się też wżyć p. Siemaszkowa, a choć w pierwszych scenach postać ta wyszła dość blado, talent szczerej artystystki zajaśniał w całej pełni w odtworzeniu nastroju wieczoru wigilijnego.

Ale właściwą miarą tego pietyzmu, z jakim artyści wzięli się do trudnego dzieła, było wykonanie ról drugorzędnych: p. Łuszczkiewiczówna jako Gerd, p. Kwiatkiewiczowa jako kobieta obłąkana bólem, p. Feldman, niezrównany w swej chytrej, chłopskiej dobroduszności wiejskiego wójta składali się na poważną, tchnącą szczerym talentem całość. Jeśli więc premiera poniedziałkowa zawiodła pod wieloma względami oczekiwania, była ona jednak ciekawą rewią sił artystycznych naszej sceny, utrwaliła nasze przekonanie co do znanych i uznanych już artystów, wskazała na talenty młode, które czekają swej kolei.

SPRAWOZDANIA.

Jan Szymański: „Poezye“, Kraków 1912, nakład autora, skład główny Gebethner i Ska, str. 77. Cena 1·50 K.

„Więc nie szalonyż — kto śpiewa i marzy
Wśród martwej ciszy społecznych cmentarzy...“

Zaiste! — szaleńczą trzeba mieć odwagę — to przyzna nawet p. Szymański, by wśród uroczystej, pełnej niepokoju, tej — takiej „martwej“ ciszy naprężonego wyczekiwania, śpiewać pieśni przebrzmiałe, mówić słowa porwane małomiejskiej gwarze literackiej, rzucać myśli pochwycone z powietrza, puste jak wiatr i z uczuć wynurzać się tak szarych jak te słowa, poprzez które płyną. Ale odwaga szaleńcza — to jeszcze nie talent poetycki! Na szczęście! Bo w przeciwnym razie p. Szymański byłby poetą!

W zbiorze p. Szymańskiego dominują wiersze społeczne, pełne porywów religijnych i patryotycznych, któreby częstokroć chciały być wieszczemi, jednakowoż mimowolnie rozbijają się o brak słów i fantazyi — tej matki Poezyi, chociaż j. n. p. w cyt. wierszu:

„Kto teraźniejsze granice przekracza
I przyszłe dzieje, przyszłe pokolenie,
Miłosną troską w swej myśli otacza
I żarem serca ich byt opromieni... itd.“

cechują się, jak na debiutanta — nieco zawygórowaną pretensyonalnością. Ostatecznie! — nie każdy musi być wieszczem — można być dobrym poetą — wytrawnym stylistą przypuśćmy! Lecz p. Szymański zapomina pewno, że lilje zbrukały się już w swej niepokalanej białości od częstego używania, słowiki zachrypły od śpiewu, płomienie serca — przygasły i myśli dawno już przestały być błyskawicami, p. Szymański zapomniał, że porównanie każde powinno być świeże, widziane przez własną fantazyę, a nie przepływające sobie przez głowę z literatury i zwrotów utartych. Pozatem istnieje pewien ton, którym wypowiada się rzeczy płynące z głębi duszy i ten właśnie ton — decyduje o oryginalności. Ów ton jest cechą temperamentu i charakteru — kto go nie posiada — nie posiada też i wybitnego charakteru — ten zaciera się w szarzyźnie.

Wierne, miłosne, proste, rzewne, nawet szczere, nie chorują wprawdzie na zmysłowość ale i nie odznaczają się też niczem.

Jedno — co cechuje p. Szymańskiego to — brak konsekwencyi. Chociaż wiersze nie są nastrojowe, to jednak p. Sz. pozwala sobie na wypowiadanie rzeczy wprost ze sobą sprzecznych. I tak n. p. na str. 27. pisze:

„Bóg mię nie natchnął mocą ślepej wiary
Nie zakuł w pancerz ufności dziecięcej
Przeto cierpię i męczę się więcej...“

na str. zaś 77.:

„Czemuś o Panie, nadziei znicze
Rozżarzył we mnie...“

Wprawdzie bolesnem to, że p. Szymański nie wie czy Bóg

dał mu nadzieję, czy też jej nic dał i może z tego powodu potrójnie cierpi, jednakże co to obchodzi czytelnika?

Pewnego poczucia melodyjności nie można odmówić p. Szymańskiemu, lecz to zawsze jeszcze nie wystarczy, aby być miernym chociażby poetą.

Feliks Gwiżdż: „D o b r z y l u d z i e“ — nowele i szkice, Lwów 1912. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Str. 187.

Od pewnego czasu grasuje w literaturze polskiej epidemia „dobrych“ ludzi. Pisarz, któremu zabrakło w repertuarze własnych przeżyć kilku Balzacowskich rysów charakteru człowieka już nie „dziwnego“ ale wprost codziennego ima się najłatwiejszych środków wybrnięcia z sytuacyi niegrafomana przez napisanie więcej lub mniej stronic na temat ludzi dobrych lub ich karykatur. Najłatwiejszy to środek, gdyż najłatwiej u czytelnika wzbudzić współczucie dla ludzi nie mających innych zalet prócz dobroci, głupoty i braku woli. Widocznie, że ten człowiek dobry, zadowolony, trymający pełną garścią „son petit bonheur“ stał się już niejako ideałem społecznym, nad którym wolno się pastwić w nieskończoność.

Otóż jednym z takich najwspółcześniejszych pisarzy jest również i p. Gwiżdż. Jest on zdania, że każdy dobry humor, a nawet i „Galgenhumor“ wystarcza, aby być człowiekiem nowoczesnym, wychowanym na „decadence“ jak ów graf de Kłahowo-Kłah (nieprawdaż jak śmieszne nazwisko!!), robiącym co tydzień walne zgromadzenia swych myśli, zdziennikarzowanym poetą kawiarnianym, znającym się na kwestyi chłopskiej lepiej może i głębiej niźli „żywiołowy“ Reymont.

Z takim to dobrym humorem epika od Michalika, przychodzi p. Gwiżdż do chłopów. Wszyscy są źli, — dusza wszystkich nie zna nic prócz interesu — i wszyscy, cała wieś pozwala się prowadzić za nos i siwe włosy demonicznej, z bliska zaś filigranowej Wikcie.

Uradziła Wikta ożenić szwagra swego Lejzusia i wygnać go z jego własnej chałupy. Ludzie dobrzy, starzy pomogą jej w tem, bo potrafi z nimi mówić. Lejzuś, choć woli w słońcu się wygrzewać i jak pensyonarka z lasem gwarzyć, osaczony przez wszystkich, którzy mimo jego woli całą sprawę prowadzą poddaje się konieczności ale w końcu zrozumiawszy zamysły Wikty, wypędza ją z chaty i sam z przyszłą żoną na gruncie zostaje.

Tacy to dobrzy, wszyscy pospołu, dobrzy ludzie... Nie wiedzieć tylko, kto to taki dobry — czy ślamazarny Lejzuś, czy też oni, gromadą radzący o dobrym losie Lejzusia — bo i oni przecie nie są tacy źli — aby z nich szydzić!!

Nowela napisana z pewnym rozmachem, w koncepcyi trzymająca się analogii do „chłopów“ Reymonta, językiem gładkim upstrzonym w dowcipy — jeśli już nie dziennikarskie, to przynajmiej podobne do następującego:

Jawor: „Młodyś... jeszcze nic nie wiesz o świecie... Przeżyło się trzy baby, wszystkie się wykopyrtły, ja został. To je bracie, śtuka“.

Brzezina: „Ho, młodyś, młodyś — powtarzał za Jaworem. — Cóż to jest: trzydzieści roków? Ja na ten przykład... ja miał jedne babe. Ale starczyła za trzy. A takę przeżyć, to jeszcze większa śtuka“.

Czy p. Gwiżdż nie czuje, że taki dowcip zapełniający numery już nie „Bociana“ i „Śmigusa“ ale wprost „Pocięgla“ wcale duszy chłopskiej nie maluje!!

Szkice są lepsze. „Pogański bój“ np. jest wyborną ilustracyą wyobrażeń dziecięcych, nowela p. t. „Moja współlokatorka“ posiada jak wszystkie nowele Maupassantowskie silną pointę, jednak, że z postaci podobnych jak graf de Kłakow-Kłah już się nikt nie śmieje.

Cały zresztą tomik wydaje się jakby pisany od ręki. Nic nie zatrzyma dłużej na jednej karcie, nic nie zachęci, by do książki powrócić. *Edmund Semil.*

SILVA RERUM.

W SZLACHECKIM FOLWARKU. (r-s). Ach, jak pracują kuryalno-patryotyczne mózgi, by sejm galicyjski tak zreformować, ażeby żadnej reformy nie było, ażeby zadość stało się francuskiemu przysłowiu: *plutôt cela change, plutôt c'est la meme chose* (im bardziej się to zmienia, tem bardziej pozostaje tem samem!) Nielada to sztuka wymyśleć taki projekt, jak reformatorskie dzieło podolackiego uczonego p. Starzyńskiego — ile to napocić się musiała ta mądra głowa junkierska, aby tyle potworności nagromadzić, że wobec nich ordynacya wyborcza do sejmu pruskiego — ów najniegodziwszy według Bismarka system wyborczy — wydaje się czemś wcale rozsądnem i przyzwoitem!

O, bo junkier polski umie reformować! Chiny się demokratyzują i republikanizują — pora właściwa, żeby Galicya chińszczyznę u siebie zaprowadziła, oczywiście chińszczyznę *ancien-regime*'u, chińską dawną skamieniałość, która w polsko-obszarniczym języku zwie się p e t r y f i k a c y ą. W Indyach zanikają kasty — giną tam święte tradycye, ale nie zginą w naszym kraju, bo my mamy sejm kastowy, który na straży tradycyi stoi. Zachowamy kurye austryackie, jako najcenniejszy klejnot w polskiej koronie; godząc zaś tradycyę z „rozumnym postępem“, do dawnych kuryi dodamy nowe, aby tem mocniej ugruntować kuryę kasty szlacheckiej a pogardzonej kaście paryów-robotników „solidarność narodową“ w postaci figi pokazać. Aby zaś wiedziano, że cześć należy braminów i mandarynów, zachowa się na wieczne czasy dostojnych wirylistów, t. j. posłów, których nikt po nic nie posyła. Ponieważ dalej nie wypada w roku jubileuszowym Krasińskiego zapominać o haśle: „Z szlachtą polską polski lud“, więc lokajowi ze dworu da się dwa głosy, jako że, służąc przy pańskiej osobie, poloru nabrał i politycznego zmysłu, a kmiotkowi ubogiemu jeden tylko głosik. Właściwie pół głosu byłoby dosyć, ale Starzyński nie wynalazł jeszcze sposobu półgłosowania, więc trudno... Należy dbać o arytmetyczne i geograficzne wykształcenie poczciwego ludu polskiego i ukraińskiego: będą więc trzymandatowe okręgi wielorybich rozmiarów. I będzie dużo jeszcze różnych różności w tym pięknym Sejmie — dzięki solidarnym wysiłkom wszystkich stanów sejmowych.

A ponieważ wszystkim ma być odmierzona sprawiedliwa porcya kuryalna, więc i żydzi proszą o troszkę. P. Loewenstein, wielki demokrata przed Bogiem Izraela, wielki asymilator wobec narodu polskiego, wielki kahalnik „wybranego ludu“ — pragnie by dwóch wirylistów kahalnych zbogaciło galeryę czcigodnych postaci sejmowych. Ten żydowski dodatek do katolickiego projektu p. Starzyńskiego, ten związek myśli kahalnej z myślą podolacką — pięknie świadczą o roli demokracyi w sejmie, a również o patryotyźmie p. Loewensteina: „żyd poczciwy“ folwark szlachecki, jak ojczyznę kocha i jedno tylko czyni zastrzeżenie reformatorskie, że trochę kahału ojczyźnie tej przydałoby się...

JESZCZE JEDEN PORACHUNEK. Z okazyi roku jubileuszowego p. Filewicz przypomina w „Nowoje Wremia“ udział Polaków w kampanii napoleońskiej i ze wspomnień tych bierze asumpt do nowej filippiki przeciw Polakom i wskazuje na wyodrębnienie Chełmszczyzny jako na konieczną i jedyną słuszną drogę odwetu za polskie knowania przeciw wielkiemu imperyum: „W armii Napoleona, pisze on, Polacy według wszelkich świadectw byli najbardziej przeniknięci entuzyazmem wojennym. W pośród dwudziestu narodów, które Napoleon pchnął na Rosyę, tylko oni jedni wiedzieli wyraźnie i dokładnie w jakim celu niosą ze sobą ogień, a w Rosyi długo zatrzymywało się wspomnienie o szczególnej surowości tych „Francuzów“, którzy rozumieli po rosyjsku“.

Gdy więc dziś nadszedł dzień sądu i odwetu, Chełmszczyzna musi być wyodrębniona, by sprawiedliwości dziejowej stało się zadość, by i ten porachunek został wyrównany...

Jest w Rosyi przysłowie, które mówi, „że durakam zakon nie pisan“, — durnych żadne prawo nie obowiązuje, ale gdy właśnie ci durni prawa dyktować zaczynają, już nie oburzać się na nich trzeba, ale raczej litować się nad nimi i całą nikczemność tej sytuacyi czuje w Rosyi lepszy odłam jej społeczeństwa i jej prasy.

Jednocześnie bowiem w najstarszym i najpoważniejszym miesięczniku rosyjskim „Wiestnik Jewropy“, znajdujemy artykuł w tej samej sprawie w którym czytamy takie zdanie:

„Projekt wyodrębnienia Chełmszczyzny powstawał niejednokrotnie w epoce nieograniczonego absolutyzmu, kiedy wykonania go nie możnaby było policzyć na rachunek narodu, a więc nie mogłoby to pogłębić przepaści między Polakami a Rosyanami. Właściwie naród, za reprezentacyę którego nie można w żaden sposób uważać Dumy 3. czerwca i obecnie nie bierze udziału w zamierzonym projekcie — ale istnieje powód formalny do twierdzenia czego innego, grunt do podziału, a więc i zmniejszenia odpowiedzialności wobec współczesnych i potomstwa“.

Z RAPTULARZA.

ZWIĄZEK URZĘDNIKÓW i URZĘDNICZEK PRYWAT. dla Galicyi Śląska dołączył do numeru swego organu „Społem“ kwestyonaryusz dla wszystkich pracujących w biurach i przedsiębiorstwach prywatnych. Kwestyonaryusz tem obejmuje szereg pytań odnoszących się do stosunków pracy, płacy i t. p. urzędników i urzędniczek bankowych. Pisemna ta ankieta ma po przeprowadzeniu dać obraz położenia ekonomicznego tej klasy społecznej i dlatego w interesie całego społeczeństwa leży by jak najwięcej urzędników i urzędniczek uczestniczyło w niej. Niechaj każdy urzędnik i urzędniczka w kraju odniesie się do Związku Urzędników i Urzędniczek prywatnych we Lwowie ul. Batorego 11 i zażąda kwestyonaryusza — tak by wyniki tej ankiety objęły jak najwięsze zastępy 25.000 rzeszy urzędników i urzędniczek prywatnych.

PRZEGLĄD CZASOPISM.

KRYTYKA za luty przynosi w części l-szej szereg interesujących artykułów. (f): Przewidywania wojenne. Jan Jastrzębiec Hempel: Doświadczenia religijne. Współcześni politycy polscy. XXV. Generał Babiański, przez R. Baudouin de Courtenay. Adam Płomieńczyk: Prace Limanowskiego o emigracyi po r. 1831. Szpon: Co to jest Rosya? — W części literackiej: K. Błeszyski: W walce o światopogląd, Monizm i filozofia. Eug. Zahorski: Jutro, wiersz. Juliusz Kaden: Panicze, nowela. K. Butrymowicz: Czarne motyle, Samotność, Gorączka, Sen życia, poezye. Bron. Urbański: Wit Stwosz, charaterystyka. Sydir Twerdochlib: Ze współczesnej poezyi ukraińskiej, poezye. Miecz. Rettinger: Dwa warsztaty. (Organizacya Shaw'a i Strindberga). W dalszej części aktualny „Przegląd“ i „Sprawozdania“.

Książki nadesłane do Redakcyi.

Walerya Szalay: Za gwiazdą zwodniczą, opowiadanie historyczne 1812. Lwów 1911. Nakładem Macierzy Polskiej.

Konstanty Wojciechowski: Piotr Skarga. Lwów 1912. Nakład Macierzy Polskiej.

Dr. Julian Tokarski: Przez Syberyę, Mandżuryę i Japonię do brzegów oceanu spokojnego. Lwów 1912. Nakład Macierzy Polskiej.

Piotr Louijs: Kobieta i pajac. Warszawa 1912. Nakład kasy przezorności i pomocy warszawskich pomocników księgarskich.

Maciej Wierzbiński: Zakazana muzyka. Warszawa 1912. Nakład kasy przezorności i pomocy warszawskich pomocników księgarskich.

Tadeusz Miciński: Nietota. Warszawa. Nakład kasy przezorności i pomocy warszawskich pomocników księgarskich.

Pokwitowania.

Polskie Towarzystwo dla niesienia pomocy więźniom i zesłańcom politycznym potwierdza niniejszem odbiór 52 koron 84 hal. przesłanych przez „Filarecyę“ w Zurychu.

„ŻYCIE“ wychodzi w każdą sobotę po południu.

PRENUMERATA WYNOSI:

	rocznie	półrocz.	kwart.
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier . . .	20 kor.	10 kor.	5 kor.
Dla członków Polsklego Stronnictwa Postępowego	12 kor.	6 kor.	3 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa. . . .	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego numeru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy, lub jego miejsce 40 hal. Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada.

Adres Redakcyi i Administracyi: ul. Sienkiewicza 9.

REDAKTOR PRZYJMUJE CODZIENNIE, Z WYJĄTKIEM ŚWIĄT i NIEDZIEL, OD GODZINY 6. DO 7. WIECZOREM

Wydawca: HIPOLIT ŚLIWIŃSKI.

Redaktor odpowiedzialny: ALEKSANDER NAWROCKI.

Kierownik pisma: STEFAN GACKI.

ODBITO W DRUKARNI „PRASY". LWÓW, ULICA SOKOŁA L. 4. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA".